



MICHAŁ WÓJCIK

ONA

BRZEMIĘ LEGENDY

SŁUGA PIASKU
TOM III

[Kup książkę](#)

Cykl Sługa Piasku
ONA – Tom III

Copyright © by Michał Wójcik, Wrocław 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Julia Diduch-Stachura „Słowność”
Korekta:
RKS Janusz Muzyczyszyn
Patrycja Szura „Ta od korekty”
Projekt okładki:
Anna „Miramari” Gross
Skład i łamanie:
Krzysztof Biliński

Wydanie I
Wrocław 2024
ISBN Oprawa miękka: 978-83-962964-4-3

SPIS TREŚCI

WSTĘP	9
ZAMKNIĘCIE ROZDZIAŁU	11
ŁĄCZNIK Z PRZESZŁOŚCIĄ	49
HORSUS 55	85
ODWIEDZINY STAREJ ZNAJOMEJ	119
NA POMOC ANNE	145
<i>CLAUDERE!</i>	179
NIE BIJ, WYTŁUMACZ	209
TWE GRZECZY ZOSTANĄ ODPUSZCZONE	245
DIAMENT	281
PRAWDA O INKWIZYTORZE	315
EPILOG	347

Książkę dedykuję mojej żonie, Karolinie.



WSTĘP

Kapitan Anne Bonny – jak to dumnie brzmi. Nikt nie zdaje sobie jednak sprawy z ciężaru tego imienia i nazwiska. Dopiero dziś, po tylu ucieczkach przed śmiercią, patrząc w lustro, widzę, kim się stałam. Nie wierzyłam w ostatnie słowa mojej poprzedniczki, którą... a jakże, pozbawiłam życia. Nie zauważyłam, jak mrok, tłoczony zewsząd w moje serce, zaczyna je wypełniać. Nie zatrzymałam tego w porę, ale czy tak naprawdę kiedykolwiek chciałam? Dziś każdy drży na sam dźwięk mojego przybranego imienia. Nikt jednak nie wie, że muszę zakładać maskę za każdym razem, gdy wychodzę ze swojej kajuty. Nie mogę pokazać, że się boję, że nie jestem pewna swoich czynów i decyzji. Czasami czuję się, jakbym pływała w basenie pełnym rekinów, które tylko czekają, aż się skaleczę, by mogły mnie rozszarpać na tysiące kawałków. To tylko kwestia czasu, aż młodsza, sprawniejsza kobieta rzuci mi wyzwanie. Tak jak ja zrobiłam to swego czasu. Czy wtedy odczuję radość z tego, że ktoś przejmie ode mnie ten tytuł, by w dalszym ciągu rozsławiać legendę Anne Bonny? Zapewne tak, a ostatnia myśl, jaka pojawi się w mojej głowie, będzie brzmieć: zabierzcie to w końcu ode mnie! Postawię kropkę na tym etapie swojego istnienia. A wystarczyłoby tamtego dnia zostać z Montezumą.

Może wtedy znalazłabym spokój i zapomniała o tym, którego chcę znaleźć. To przecież jego wina, to przez niego jestem, kim jestem! Jednak tego nie zrobiłam i każdego wieczoru ogromnie żałuję tamtej decyzji. Muszę odnaleźć Brega, muszę rozliczyć się ze swoją przeszłością.



ZAMKNIĘCIE ROZDZIAŁU

Poczuła ulgę, gdy stalowego ptaka otuliła czerń kosmosu. Tutaj, w tej bezkresnej przestrzeni, odczuwała spokój umysłu i choć przez moment mogła pobyc sama ze sobą. Łapała się na myślach, że wolałaby zostać tutaj jak najdłużej i z chęcią nie wracałaby na pokład Williama II. A już tym bardziej jej stopa nigdy by nie powstała na żadnej zamieszkanego planecie.

Życie jednak nie pozwoli jej na to, a od kiedy topór wisi nad jej głową po akcji na Nassau, może zapomnieć o chwili wytchnienia i przerwie w ciągłej walce o przetrwanie.

Na globie, który zostawia za plecami, zapewne już dogorywa bitwa ostatnich mieszkańców dżungli. Ich krew będzie zdobić ostatnie zielone liście – na nie również został wydany wyrok. To, co tam znalazła, mogło się okazać znacznie cenniejsze niż dziennik pokładowy „Zemsty Królowej Anny”, legendarnego okrętu króla piratów, który lata temu budził postrach we wszystkich znanych im galaktykach. Młodej kapitan pewna myśl nie dawała spokoju. Jeśli Czarnobrody był królem, dzierżył taką władzę i każdy pirat się go obawiał, to co robił na planecie, wymazanej z wszelakich znanych im map i baz danych? Pobyt na Amuko zmęczył ją psychicznie. Zamiast uzyskać tu odpowiedzi, na

jej osobistej liście, ukrywanej skrzętnie w głowie, pojawiły się nowe znaki zapytania.

Teraz, gdy mają księgę, dla niektórych wręcz biblię napisaną ręką samego boga, Edwarda Teacha, mogą jednak zaplanować kolejne ruchy w celu triumfalnego powrotu na planetę, którą niejedna istota z jej załogi uważa za swój dom. Ona natomiast widziała w stolicy piratów siedlisko zdrajców i istot interpretujących wszelkie zasady tak, jak im się żywnie podoba.

Kierowała myśliwcem, patrząc na nieduży monitor pokazujący podstawowe dane na temat Amuko, a także zarys planety. Na jej powierzchni na wieczną wartę odszedł słynny Edward Teach wraz ze swym okrętem. Anne była pełna obaw, że czeka ją taki sam los jak króla ptasiora. Potężna armia maszerująca na miejsce bitwy została stworzona tylko w jednym celu – by zgładzić resztki ewentualnego oporu wobec gatunku, który miał przejąć władzę na wieki. Dostrzegała pewne analogie do ich sytuacji. Zabicie zwierzchnika Republiki na Nassau może oznaczać rozpętanie konfliktu, który pochłonie setki, jak nie tysiące ofiar. Co gorsza, w tej chwili nie posiadali żadnych informacji, co działo i co dzieje się w mieście piratów po tym, jak je opuścili. Bardzo możliwe, że właśnie teraz gigantyczna liczba łowców nagród przeczesuje kosmos w poszukiwaniu Anne Bonny i Jacka Rackhama. A jeśli wydano za nimi oficjalny list gończy z ramienia departamentu republiki? Mieliby mocno przesrane – to najdelikatniejsze słowa, jakie przysły jej w tym kontekście teraz do głowy. Nawet znalezione skarby nie uratują ich przed stryczkiem.

Czerwona dioda migająca na panelu kontrolnym myśliwca nie dawała Anne spokoju od chwili opuszczenia stratosfery. Ktoś na Williamie II był strasznie upierdliwy i domagał się rozmowy z dowódcą. Po krótkich poszukiwaniach pod siedziskiem pilota udało jej się wymacać nieduży młotek. Służył on do wybicia szyby kokpitu w razie niebezpieczeństwa lub kraksy na powierzchni

planety. Wtedy najczęściej cała elektronika poszłaby w diabły, więc metoda siłowa była jedynym sposobem na wydostanie się z maszyny.

– To się teraz przyda – powiedziała pod nosem.

Zbiła diodę i w końcu mogła się w pełni rozluźnić. Ponieważ nie wskazywało na jakieś zewnętrzne kłopoty, mogła sobie pozwolić na olanie natręta. Najwyżej później się tym zajmie. Nie miała za wiele czasu na pobyt w samotności. Wiązka promienia ściągającego z jej okrętu już pochwyciła niedużą, stalową konstrukcję. Powoli zaczęła szybować w kierunku otwartego hangaru Williama II i nic na to nie mogła już poradzić. Myśliwiec wślizgnął się powoli do środka i bardzo delikatnie osiadł na wyznaczonym miejscu. Wielkie stalowe wrota za jej plecami zamknęły się, dając do zrozumienia, że Anne nie ma już dokąd uciec i skryć się przed wszystkimi. Za chwilę nastąpi wyrównanie ciśnienia i zaraz potem pojawi się komitet powitalny, który już zapewne zmierza w jej kierunku.

Z drzwi, które znajdowały się kilkanaście metrów przed nią, wyszła Nila wraz z Carlosem. Anne nie miała teraz ochoty na rozmowę z nimi. Wcisnęła blokadę kokpitu i przyciemniła szyby. Piloci przeważnie używają tego triku, gdy muszą latać w sąsiedztwie mocno świecącej gwiazdy. Ona jednak wykorzystała tę możliwość do odseparowania się od świata, który na nią czekał, ponieważ jeszcze nie była gotowa na konfrontację z nim. Towarzysze chyba zrozumieli jej aluzję, gdyż nikt nawet nie odważył się przeszkadzać kobiecie. Na rozkaz kwatermistrzyni Nili wszyscy opuścili hangar i stanowiska kontroli.

Anne oparła się o fotel, starając się nastroić do grania roli słynnej piratki. Czasami wydawało jej się, że przeprowadza swego rodzaju rytuały, jak sportowcy przed ważnymi zawodami. Nikt ani nic w tym momencie nie może im przeszkodzić. Choć siedzisko było dla niej za duże i strasznie niewygodne, nie mogła zbytnio narzekać. Zawsze mogłoby być gorzej. Będzie musiała jeszcze

załatwić sprawę z kapitanem Rackhamem. Pomagał jej od samego początku projektu, który nosił nazwę: „znaleźć księgę”. Jednak ani razu nie wspomniał, co go tak naprawdę skłoniło do pomocy lub z jakich pobudek to robił. Najgorsze, co mogłoby się stać w obecnej sytuacji, to otwarty konflikt między nimi.

– Czy Jack będzie chciał być królem? Czy ja chcę być królem? A może poprawnie byłoby powiedzieć królową? – zastanowiła się na głos. Z każdą chwilą spędzoną w kokpicie tylko przybywało kolejnych pytań. Odpowiedzi lub rozwiązań... żadnych, co nie było dla niej nowością.

Wzięła głęboki wdech. Musiała powoli zbierać się do wyjścia. Załoga nie może pozostawać bez rozkazu, wtedy mogą pojawić się u nich strasznie głupie pomysły. Kopuła kokpitu z wolna zaczęła się unosić. Anne od razu uderzył wszechobecny zapach oleju, smaru i paliwa. Znów przez głowę przeszła jej myśl, jak wspaniale byłoby wrócić do dawnego życia i zająć się tylko mechaniką. W tym samym momencie z boku myśliwca wysunęła się wąska metalowa drabinka. Dzięki niej mogła zejść na dół i stanąć na stalowym kolosie, który był na każdy jej rozkaz.

Wokół niej było cicho, aż za bardzo – słyszała urządzenia pracujące w pomieszczeniu kontroli. Nawet Nila i Carlos nie raczyli nic powiedzieć, jedynie patrzyli na nią pytającym wzrokiem. Teraz liczył się czas, więc reakcja z jej strony musi być szybka i... precyzyjna. Od kolejnych jej kroków może zależeć naprawdę dużo. Dokonała pospiesznej analizy i już wiedziała, gdzie powinna skierować okręt z załogą. Jeszcze tylko musiała to oświadczyć przy stole. Nie czekała więc dłużej i żwawym krokiem podeszła do komunikatora przy drzwiach hangaru. Kwatermistrzynie i główny mechanik podążali za nią krok w krok. Wcisnęła przycisk, usłyszała trzask i powiedziała:

– Do załogi uprawnionej: zebranie przy stole za dziesięć minut.

Przy stole pojawili się wszyscy – główny mechanik Carlos, kwatermistrzyni Nila, skarbniczka Rebecca, nawigatorka Blanca, Abeje jako nowa dowódczyni ochrony, a także nowa technolożka Al-Sura. Nikt nie chciał zaczynać rozmowy. Tak, jakby się bali reakcji kapitan lub nikt nie chciał brać odpowiedzialności za podjęte decyzje. Podobał jej się ten respekt i ważenie każdego słowa w jej obecności... pod warunkiem, że dobrze tę sytuację zdiagnozowała.

– Lecimy na Tung – oznajmiła Anne.

– Po co tam, pani kapitan? – zdziwiła się Nila.

– Mam tam do załatwienia pilną sprawę.

– Czy ta sprawa nie może poczekać, aż załatwimy kwestie związane z Nassau? – wtrącił się do rozmowy Carlos.

– Nie, poza tym nie wiemy, co tam się teraz dzieje. – Anne posłała groźne spojrzenie swojemu mechanikowi. – Żeby ruszyć dalej, musimy pozamykać niezakończone sprawy.

– Ale Nassau też musimy mieć na uwadze – zaznaczyła Nila.

– I będziemy mieć, to jest nasz dom. – Anne dziwnie się poczuła, wypowiadając te słowa. – Po spotkaniu połączę się z Williamem I i poproszę o wysłanie jakiejś jednostki na zwiady. My mamy zbyt duże niedobory w sprzęcie i załodze, by podjąć się tego zadania.

– No dobrze, to mam już wyznaczyć kurs? – spytała nawigatorka.

– Tak, powiadom mnie, jak wejdziemy na orbitę planety. To wszystko, możecie wrócić do swoich obowiązków.

Wszyscy prócz Nili wstali i opuścili pomieszczenie. Anne wiedziała, że od pewnego czasu coś kwatermistrzynię trapi. Już na Amuko była jakaś zamyślona, nieuważna, co było do niej kompletnie niepodobne. Może to zwykły spadek formy, ale kapitan nie

chciała w to wierzyć – już za dobrze się na Nili poznała. Kapitan musiała trochę rozluźnić to powstałe napięcie, wyciągnęła więc z barku dwie kryształowe szklanki, najładniejsze, jakie posiadała. Postawiła jedną dla siebie, drugą dla Nili. Następnie sięgnęła pod stół, gdzie kryła się specjalnie zamykana szafka. W niej znajdował się mały schowek, a w środku... złoty trunek, którym żaden szanujący się pirat by nie pogardził.

Nila patrzyła, jak whisky wypełnia postawione przed nią szklane naczynie, a że na Williamie II utrzymywane było sztuczne ciśnienie, nie było obaw, że ciecz zaraz opuści tumbler. Gdy kapitan skończyła nalewać również sobie, kwatermistrzynie złapała szybko trunek i jednym haustem wlała wszystko do gardła. Rzuciła jedno pytające spojrzenie na Anne, a ta nalała im już drugą kolejkę. Nila w jednej z książek, którą udało jej się dorwać na Nassau, przeczytała, że piraci, od których mają swoje nowe nazwiska, raczej gustowali w trunku nazywanym rumem. Niestety nie był on już dostępny w galaktyce, przynajmniej tak słyszała. Więc z potrzeby chwili zastąpili go whisky.

– Nila, o co chodzi? – Anne nie wytrzymała po trzeciej kolejce. Czuła, jak alkohol zaczyna mącić jej umysł.

– Pani kapitan...

– Mów mi Anne, przestań z tą kapitan, siedzimy w końcu same. Tytułuj mnie tak przy załodze, żeby nie pomyśleli, że masz u mnie jakieś specjalne względy.

– Dobrze, Anne – wypowiedziała niepewnie jej imię. – Problem polega na tym, że nie wiem, do czego dążysz. Nie rabujemy sami ani nie pomagamy w tym innym załogom. Nasz sejf świeci pustką, przez co załoga dostanie ledwie jedną trzecią żołdu. W ten sposób budujemy niechęć do ciebie, a także do wszystkich zapraszanych na spotkania przy stole.

– Przecież wykopaliliśmy trochę złota z planety Rackhama, poza tym mamy księgę, a to ona była naszym nadrzędnym celem.

– Złoto, które mamy w ładowni, trzeba wymienić na jakąś walutę. To zmusza nas do udania się na jedną z planet, gdzie znajdziemy oficjalną placówkę Republiki, Federacji lub Lombardu. A z tego co wiem, to na Tung takowej nie ma.

Anne patrzyła na swoją kwatermistrzynię ze zdziwioną miną.

– Wśród załogi to wygląda inaczej. Mam swoich kretów w kilku ważnych grupach, na paru pokładach. Według informacji, które udało mi się zebrać, podwładne uważają, że wykorzystujesz okręt do prywatnych celów, a nie dla wspólnego dobra.

– Słucham?!

– Przekazuję ci tylko to, czego udało mi się dowiedzieć – odpowiedziała spokojnie Nila.

– Według kodeksu ta księga upoważnia mnie do ogłoszenia się królem piratów. Dzięki temu William II stanie się okrętem flagowym naszej społeczności.

– A ilu kapitanów cię poprze?

– Nie rozumiem – Anne powoli zaczynała odzyskiwać rezon, ale znów szybko go straciła.

– Kodeks kodeksem, ale kapitanowie innych okrętów nie muszą wcale cię uznać za swego króla. Tak naprawdę mit o tej księdze wiązał ich wszystkich z Nassau. Byli wolni od jakiejkolwiek władzy, rozkazów, nakazów lub sztywnych zasad. Nie oszukujmy się, tam są spisane jedynie wskazówki. Niewielka opłata ze zdobytych łupów była jedynym elementem całej układanki, która miała dowódcom pokazać, że oni i ich załogi przynależą do jakiejś społeczności. Nawet jeśli będziesz chciała zostawić, powiedzmy, podatek na tym samym poziomie, oni będą mieli z tyłu głowy, że ktoś jest nad nimi, a to może im już nie odpowiadać.

– W takim razie co twoim zdaniem powinnam zrobić?

– Nie wiem, Anne, naprawdę nie wiem. Musisz jednak stąpać bardzo rozważnie.

To podsumowanie ucięło rozmowę.

Czy faktycznie mogło być aż tak źle, jak mówi Nila? – zastanowiła się Anne. To mogłoby doprowadzić do buntu i wszystko to, do czego dążyła, tak naprawdę mogło okazać się bezużyteczne. Nie miała ochoty na kolejną konfrontację, była nimi już po prostu zmęczona. Jednak podróż na Tung mogła znów obudzić ten dawny ogień, który czuła, że gdzieś zatraciła. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Nie odwołała swojego rozkazu, ale słowa, jakimi uraczyła ją kwatermistrzyni, mocno wryły jej się w głowie. Przez całą drogę na rodzinną planetę rozmyślała nad kolejnymi krokami, jakie powinna wykonać. Ku swojemu zadowoleniu nie musiała zbyt często wychodzić z kajuty. To dało jej sposobność, by sprawdzić, co się znajduje w notatniku znalezionym przy szkielecie Teacha na planecie Amuko. Otworzyła go ostrożnie, starając się nie uszkodzić cennego znaleziska. Już pierwsza strona wbiła ją w fotel – *Edward Teach, przygoda po czeluściach kosmosu króla piratów*. Nie mogła uwierzyć w to, co przeczytała, a piękny charakter pisma tylko potęgował to uczucie. Jeśli faktycznie tekst wyszedł spod ręki najsłynniejszego z piratów, to stereotyp, że istoty, które parają się tym zawodem, to skończeni idioci i nieuki, odchodzi do lamusa i nie ma potwierdzenia w tym, co teraz widzi. Radość, jaką odczuła, trzymając notes w dłoniach, przykryła odczucia związane z niedawną rozmową z Jackiem. Ten stwierdził, że nie wysłał zwiadu na Nassau, bo uważał, że to teraz zbyt niebezpieczne. Czy miał rację? Czas pokaże. Powoli obróciła na kolejną stronę:

Zapewne musiałeś ten notes wyciągnąć z mojego płaszcza, który skąpo wisił na moich zwłokach lub szkielecie. Znasz mnie pewnie pod imieniem Edward Teach, pseudonimem Czarnobrody, ale czy znasz moje prawdziwe imię i nazwisko? Oczywiście, że nie, bo skąd? Od kiedy przywróciłem znanych piratów z powrotem do życia, wszystkie istoty po

kolei wypierały się swojego dotychczasowego „ja”. Każdy z nas chciał się stać choćby częścią legendy, każdy z nas chciał być zapamiętany, ale z czasem traciło to swój smak. Nazywam się Paweł Bernert i opowiem ci swoją historię...

Anne już wiedziała, że podróż minie jej w bardzo przyjemny sposób. Oby nie zabrakło tylko alkoholu i tak potrzebnej ciszy.

Dotarli na miejsce po kilku standardowych dniach. Bonny chciała zrobić wrażenie na mieszkańcach osady, niegdyś jej sąsiadach. Czy czuła do nich nienawiść? Oczywiście, a widok planety, którą kiedyś mogła nazwać domem, tylko potęgował to uczucie. Głównym celem był jednak człowiek, przez którego musiała opuścić to miejsce – namiestnik Mark Brown. Nie dał jej wyboru, możliwości podjęcia innej decyzji i nawet czas, który bezpowrotnie minął, nie mógł zmazać jej krzywd. Straciła siostrę, przyjaciela, publicznie powieszono jej ojca, a na dodatek straciła dach nad głową. Wylądowała na ulicy. Nikt nie chciał pomóc córce zdrajcy, więc gdy nadarzyła się pierwsza lepsza okazja, uciekła z tej ohydnej kupy szarego piachu. Teraz, po kilku latach, wracała na czele jednego z najbardziej znanych okrętów pirackich. Była jego kapitanem, a zemsta, na którą była nastawiona, nie tylko miała dać jej satysfakcję, ale również pozwolić zamknąć tamten etap życia. Przed wyruszeniem do drugiego miasta Anne chciała jednak odwiedzić swój rodzinny dom w osadzie, która kiedyś nosiła nazwę „pierwsze miasto”. Nie było potrzeby wchodzić tak ogromną jednostką w atmosferę planety. Tym bardziej, że w hangarach zostało jeszcze kilka sprawnych maszyn transportowych, które spokojnie mogły ich dostarczyć we wskazane miejsce. Mimo wszystko Anne nakazała pilotom podprowadzić Williama II tak blisko, by mieszkańcy znajdującej się na powierzchni osady doskonale widzieli, co za jednostka ich odwiedziła. Chciała napawać się strachem, który zapewne wśród nich za chwilę zagości.

Kierujące transportowcami nie miały problemu z postawieniem maszyny w okolicy opuszczonych domów pierwszego górniczego miasta. Na tej smutnej, szarej bryle piasku zapomnianej przez wszelakich bogów Anne szargały trudne do opisu emocje. Nim postawiła stopę na powierzchni, rozkazała grupie zwiadowczej udać się do drugiej lokalizacji, gdzie powinni znajdować się mieszkańcy. Kobiety posłusznie wykonały rozkaz i jako pierwsze zbiegły z opuszczonej metalowej rampy. Miały się również upewnić, czy Mark nie wysłał im komitetu powitalnego. Przy swoim boku zostawiła jedynie dwie osoby, którym najbardziej ufała, Nilę i Carlosa.

Anne, schodząc na ląd, znów wyczuła w powietrzu ten zapach, który często powracał do niej w snach. Zamknęła oczy i nim słuza wyjścia awaryjnego podniosła się z powrotem do góry, wspomnienia przejęły kontrolę nad jej umysłem.

Widziała przed sobą uśmiechnięte twarze ojca i siostry, ale również jednego z przyjaciół, blondwłosego chłopaka, z którym uwielbiała się bawić w bitwy kosmiczne. W tym wspomnieniu był także winowajca jej krzywd. Tylko on pozostawał odwrócony do niej tyłem. Widziała, jak jego plecy oddalają się w mrok, w który również i ona musiała podążać. Zaciśnęła pięści, czując, jak wzbiera w niej złość.

– Znajdę cię i zabiję... Brego – wycodziła przez zęby.

Anne, Nila i Carlos minęli główną, już rozpadającą się bramę, przy której leżało przewrócone na bok krzesło – to samo, które doskonale zachowało się w jej pamięci. To na nim codziennie przesiadywał i narzekał na swój żywot strażnik, w stanie, którego wygląd mówił wiele o tej osadzie. Lepianki z dolnego miasta praktycznie zniknęły. Czy się rozpadły? Czy może ktoś je rozebrał? Nie wiadomo. Ostał się kiosk, w którym mieszkańcy zaopatrywali się w różne towary po zawyżonych cenach. Jeśli mieli jeszcze czym za nie płacić.

Po kilku minutach wolnego spaceru doszli na miejsce. Drewniana furtka była otwarta, jakby gospodarz zapraszał do środka. Serce Anne zaczęło bić coraz to szybciej, a gdy stanęła przed drzwiami domu, myślała, że zaraz wyrwie się z jej ciała. Delikatnie otworzyła ostatnią przeszkodę przed wejściem do środka. Zawiasy okropnie zaskrzypiały, więc pewnie wszyscy w okolicy to słyszeli.

– Nila, zostań tutaj i obserwuj, czy ten dźwięk nikogo nie zaciekał. Carlos, sprawdź tył domu.

Dwójka kiwnęła głowami i ruszyła wypełnić jej polecenie. Teraz Anne musiała zrobić ten pierwszy krok do budynku, do swojego dawnego domu. Gdy w końcu odważyła się go wykonać, poczuła, jakby niewidzialna siła ścisnęła jej żołądek. W środku panował względny porządek, nie licząc oczywiście niezliczonej ilości wszechobecnego kurzu. Wszystkie rzeczy, które pamiętała, nadal leżały na swoich miejscach. Na kamiennym stole pośrodku salonu była rozstawiona zastawa. To napełniło Anne lękiem. „Czy to moja wyobraźnia? Czy może wspomnienia?” – zadawała sobie pytania.

Jednak to nie były obrazy ze wspomnień, ale prawdziwe talerze, kubki i sztuce – potwierdziła to, sprawdzając dłonią. Przeszła do kolejnego pomieszczenia, w którym kiedyś znajdowała się kuchnia. Wyglądało na to, że cały sprzęt i wyposażenie były na swoim miejscu. Zauważyła coś jeszcze, zeschnięte kwiaty w zakurzonej wazonie. Stały na blacie, na którym jej siostra często przygotowywała dla wszystkich jedzenie.

Wspomnienie jej twarzy, uśmiechu, radosnego głosu wróciło do Anne znienacka. Łzy napłynęły jej do oczu, jedna nawet spłynęła po policzku. Kapitan wróciła do salonu i zajęła swoje dawne miejsce przy stole. Oparła głowę o krzesło i zamknęła powieki. Chciała, by obrazy zapisane w głowie w tej chwili do niej powróciły i tak właśnie się stało. Widziała, jak naprzeciw niej siedzi Timi i zajada się kolejną dokładką zupy. Jak ojciec po jej prawicy opowiada wojenne historie. Słyszała je milion razy, ale

wiele by dała, żeby usłyszeć je znów. Jej siostra ubrana w różowy sweter z szerokim uśmiechem niesie w rękach garnek swojego najlepszego dania. Obok młodego blondwłosego chłopaka siedzi on, Brego. Jak zawsze z nieobecnym wzrokiem, jakby gdzieś wędrował. Jedynie co jakiś czas zawstydzą się, gdy Kari pojawia się w pomieszczeniu. Tyle lat minęło od ostatniego ich spotkania, a mimo to wspomnienia wydają się tak żywe. Jakby wydarzyły się wczoraj. Jedynie większa tęsknota została po tamtych dniach, za tymi wszystkimi osobami bliskimi jej sercu.

Złapała się na tym, że nienawiść do starszego z braci, którego obwiniała o swój los, z każdym kolejnym wspomnieniem malała. Czy kiedykolwiek zniknie? Tego nie wiedziała. Jednak chciałaby teraz zamienić z nim słowo, poznać jego punkt widzenia. Czy jemu też jest tak ciężko jak jej? Jak zachowałaby się, gdyby w tej chwili stanął przed nią? Zaczynała czuć ciekawość i coraz bardziej chciała zwiększyć intensywność poszukiwania jego osoby.

Nagle w pokoju pojawił się Carlos i poprosił ją, by poszła za nim. Mimo niechęci do przerywania swych rozmyślań i wspomnień udała się za mechanikiem na tył domu. Czy zaczęła tego żałować, gdy doszła we wskazane przez mężczyznę miejsce? Bardzo możliwe. Stała nad dwoma grobami. Starła się odnaleźć we wspomnieniach, czy były tu jakiekolwiek mogiły, gdy jeszcze tutaj mieszkała. Niestety nic nie przychodziło jej do głowy. Za to pojawiło się pytanie – czyje to groby?

Utkwiła wzrok w Carlosie. Ten z początku udawał, że nie zauważa jej reakcji.

– Nie, Anne... – powiedział zrezygnowany, gdy doszło do niego, o co za chwilę zostanie poproszony.

– Tam, w schowku powinna być łopata. Rozkop te groby, muszę sprawdzić, kto tu jest pochowany.

– To nie przystoi, dajmy spokój tym istotom, już odeszły z tego świata.

– Zawołaj mnie, jak skończysz – powiedziała stanowczo.

Odwróciła się na pięcie, wróciła do salonu i znów zajęła swoje dawne miejsce. Czekwała godzinę jak nie dłużej. Cały umorusany od ziemi, z nietęgą miną mechanik w końcu przyszedł i zakomunikował wykonanie powierzonego mu zadania. Dziewczyną zaczęły targać emocje, ręce pociły się, a oddech wydawał się cięższy. Mimo tego poszła za Carlosem. Gdy stanęła nad mogiłami, bała się skierować wzrok w ich wnętrze. Jeden głęboki wdech, drugi i w końcu się odważyła spojrzeć w dół. Tam dostrzegła dwie rzeczy, które doskonale знаła.

W prawym grobie znajdował się czerwony koc z wyhaftowaną złotą literą „R”, w lewym natomiast różowy sweter, który należał do jej siostry. Ten sweter mogłaby rozpoznać w każdym mieście, nawet na końcu galaktyki. Nogi zaczęły robić się pod nią jak z waty. Przeczukiwała, że Kari straciła życie. Jeśli byłoby inaczej, zapewne już dawno wróciłaby i odnalazła swoją małą Anne. A nic takiego nigdy nie miało miejsca i to o czymś musiało świadczyć. Jednak po dziś dzień Anne wierzyła, że odnalezienie Brega pomoże jej w odszukaniu siostry. Myślała, że chłopak ukrył swoją przyjaciółkę, i tylko on wie, gdzie ona jest. Przecież od zawsze mieli się ku sobie.

Teraz to wszystko, do czego dążyła, śmierć, którą zadała, i wybory, których dokonała, nie miało sensu. Żal, skrywany przed każdą napotkaną istotą, w ułamku sekundy rozlał się po każdym skrawku jej ciała. Nogi poddały się pod ciężarem i padła na kolana. Zaciśnęła pięści i zaczęła tak głośno krzyczeć, że słyszeli ją z pewnością w drugim mieście. Łzy pojawiły się na policzkach, a ich ilość wstrząsnęła Carlosem. Mężczyzna chciał pomóc kapitan, ale Nila go powstrzymała. Jej mina, wzrok, który w nim utkwiła, mówiły więcej niż dziesiątki słów: nie pomożesz jej teraz. Zostawili więc dziewczynę samą, by mogła wykrzyczeć i wypłakać swoją stratę.

Minęło kilkanaście minut, nim ucichła. Kwatermistrzynie i pierwszy mechanik czekali cierpliwie na ulicy przed domem. Próbowali wyobrazić sobie, jak mogło tu kiedyś wyglądać życie. Carlos zaciągał się skrętem. Nila nie cierpiała zapachu jego tytoniu, prosiła więc wielokrotnie, by zgasił to świństwo. Ten jednak, jakby robiąc jej na złość, kończył jednego i odpalał następnego. Już miała się odezwać w bardziej stanowczym tonie, bez słowa „proszę”, gdy usłyszała za plecami:

– Carlos, możesz mnie poczęstować?

Zobaczyła zapłakaną, rozmazaną dziewczynę, która w tej chwili była tak krucha, jak porcelanowa figurka tancerki kręcącej się wokół własnej osi. Mężczyzna pośpiesznie wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę wcześniej przygotowanych papierosów. Poczęstował kapi-tan i od razu złapał za zapalniczkę. Przystawił płomień do tytoniu owiniętego specjalną bibułą i podpalał go, aż zobaczył siwy dymek unoszący się do góry. Anne zaciągnęła się, ile miała tylko miejsca w płucach. Szybko wyszło na jaw, że do tej pory nigdy nie miała do czynienia z taką używką. Kaszel męczył ją tak mocno, jakby chciał jej wyrwać płuca z klatki piersiowej. Mimo bólu i oczu pełnych łez od drażniącego dymu postanowiła zaciągnąć się kolejny raz, lecz nie aż tak łapczywie. W końcu dobrała dawkę nikotyny, którą mógł przyjąć jej organizm, bo było znacznie lepiej i przyjemniej. Trochę podrapało ją w gardło, trochę kaszel szarpnął, ale bez przesadnych rewelacji.

Usiadła na niewysokim murku tuż przed Nilą i Carlosem, zerkając co rusz przez ramię w nadziei, że ktoś stanie na progu jej starego domu.

– Nila, wezwij tu kogoś z załogi. Trzeba zakopać mogiły i zrobić kurhany. Pokażę wam, skąd wezmą najlepszy materiał na tej planecie. – Zrobiła pauzę, jakby zbierała siły. – Czy są jakieś wiadomości od zwiadowców?

– Tak, byli w drugim mieście i lada chwila powinni się zjawić, by zdać raport.

Nila złapała za nieduże urządzenie trzymane za paskiem od spodni. Była to wąska luneta. Przyłożyła oko do szkła.

– O wilku mowa. Dziwne, że wraca tylko jedna – rzekła z obawą.

Coś napawało kwatermistrzynię niepokojem. Wysłała trzy zaufane kobiety w miejsce wskazane przez Anne. Miały zapoznać się z liczbą mieszkańców i siłą obronną, jaką dysponowało drugie miasto. Teraz, po kilku godzinach, obok niej zatrzymał się tylko jeden z trzech mobili, na których poruszały się zwiadowczynie.

Załogantka wysiadła z pojazdu. Miała wymalowane na twarzy przerażenie, jakby zobaczyła ducha. Ukłoniła się nisko, mimo że Anne nigdy nie chciała, by ktoś bił przed nią pokłony. Zachowanie kobiety równocześnie zaciekało kapitan i trochę zawstydziło. Wstała więc i powolnym, zachowawczym krokiem podeszła do młodej piratki. Ta, ciężko dysząc, drżącą dłońią ścierała krople potu z czoła. Anne znalazła się na tyle blisko, by móc położyć dłoń na jej barku. Nila i Carlos czekali z bronią w pogotowiu, tak na wszelki wypadek.

Zwiadowczyni od dotyku kapitan wzdrygnęła się, lecz w dalszym ciągu nie odzyskała w pełni świadomości. Sprawiała wrażenie, jakby ktoś rzucił na nią jakiś urok.

– Piasek... zabił je piasek. – Dziewczyna na chwilę odzyskała rezon, ale po wymówieniu tego krótkiego zdania skuliła się i podciągnęła kolana pod brodę. Jej ciało całe się trzęsło, jakby z zimna.

W Anne wstąpiły natomiast nowe siły, jakby to, co zaprzętało przed chwilą jej głowę, odeszło wraz z tym, co usłyszała. Rozkazała Nili, by wezwała przez komunikator transport dla kobiety na Williama II, a sama wskoczyła na mobil. Zaraz za nią znalazł się Carlos. Mina mężczyzny mówiła: chyba nie myślałaś, że puszczę cię samą. Z nim czuła się pewniej i raźniej, więc ostatecznie nie miała nic przeciwko.

– To może być błąd lub zasadzka – ocenił niepewnie mechanik.

– Błąd to powinna być nazwa tej planety – rzuciła mu przez ramię, odkręcając manetkę do samego końca.

Po chwili po kapitan i pierwszym mechaniku było widać jedynie kurz.

* * *

Dotarcie na miejsce zajęło im raptem kilkanaście minut. Anne doskonale знаła trasę, a także prowadziła maszynę bardzo pewnie i sprawnie. Nie chciała się ukrywać wśród szarych pagórków, z pełną prędkością wpadła więc na drogę prowadzącą prosto do głównej bramy. Jej zapał ustał na moment, gdy już z daleka dostrzegła pełen grozy obraz – z miejsca, do którego właśnie gnali na złamanie karku, wyrastały dwa piaskowe pale o sporej średnicy. Po chwilowym zwątpieniu na ich widok, Anne dodała jeszcze gazu, a silnik zawył, jakby chciał oznajmić: dajże spokój, kobieto!

Zatrzymała się pod głównym wejściem w najbardziej efektowny sposób, w jaki potrafiła. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że prócz niej i Carlosa nikt więcej nie będzie miał okazji zobaczyć tego wspaniałego ślizgu słynnej Anne Bonny. Przeklęła soczyście pod nosem i stanęła w progu bramy miasta. Otaczała ich niepokojąca i przyprawiająca o gęsią skórę cisza. Działała na wyobraźnię, a tej piratce nie brakowało. Kapitan skupiła uwagę na tym, co leżało pod jej stopami i jaką to darzyła nienawiścią. Płaska tafla złotych ziarenek zapraszała, by postawić na nich stopę. Z historii jedynej ocalałej z grupy zwiadowczej wynikało, że to on je zaatakował. Tylko w jaki sposób? – to pytanie plątało się po głowie Anne. Utkwiła wzrok w roztaczającym się przed nią bezruchu. Być może jakieś stworzenie, kompletnie jej nieznane, znalazło nowy dom właśnie wśród tego na pozór nieruchomego morza. Już chciała postawić krok w drugim mieście planety Tung, gdy Carlos złapał ją za ramię i pociągnął w swoją stronę, dając do zrozumienia, że

może o tym zapomnieć. Żadne tłumaczenia nie były dla niego wystarczające. Nie wierzył, że kobietom przytrafiło się coś innego, jak na przykład to, że zaatakowały je rakghulle. Chyba, że użyły jakiejś zdobycznej sztuki kamuflażu, który wyglądał jak piasek. Ale nie. Nawet to go nie przekonało, więc nie pozostało nic innego, jak czekać na Nilę i kilka innych kobiet z załogi.

Anne liczyła kolejny stracony czas w drodze na Nassau. Miała nadzieję, że z Jackiem było wszystko w porządku. Od kiedy rozstali się na orbicie planety Amuko, nie miała od niego żadnych wiadomości i to wtedy odbyła z nim ostatnią rozmowę. A jak wiadomo, jeśli zbyt długo jest spokojnie, to coś musi się spieszyć. Nie rozumiała jego decyzji o zaszyciu się na swojej planecie i przeczekaniu nadchodzących wydarzeń. Jedynie mogła żywić nadzieję, że czym prędzej postawią stopę na planecie piratów. Trzymając ich wspólną zdobycz w ręku, mogli dać coś więcej społeczności, do której oboje należą.

Oczekiwanie na resztę, którą wezwał Carlos, strasznie się dłużyło. Za każdym razem, gdy chciała ukradkiem wejść do miasta, mechanik ją powstrzymywał, jakby miał oczy dookoła głowy i wszystkie były skierowane na jej osobę. Nie wiedziała, jak długo rzucała kamieniami w piasek, by udowodnić swoją rację, gdy w końcu na miejsce dotarła Nila z załogantkami.

Zeszły z mobili i kwatermistrzynie od razu wydała jednej z podwładnych rozkaz zbadania piasku. Anne знаła tę kobietę z widzenia i ze słyszenia. Wyrzucano ją z każdego działu na okręcie z komentarzem, że nie nadaje się do tej roboty. Nawet sprzątanie pokładu ją przerastało. Kapitan nie protestowała. Jeśli to, co powiedziała zwiadowczyni na temat piasku okaże się prawdą, to strata nieprzydatnej załogantki nie będzie żadnym obciążeniem dla funkcjonowania Williama II.

Kobieta zrobiła pierwszy krok po złotych granulkach. Nie uważyli niczego niepokojącego. Na pewno coś wpadłoby im w oko.

Pięciu parom trudno byłoby coś pominąć. Zachęcali załogantkę, by szła dalej i niczego się nie obawiała, w końcu stali niedaleko i w razie potrzeby ruszyliby jej z pomocą. Piratka powoli, choć nieco pewniej, stawiała następne kroki. Z paroma kolejnymi strach jakby w niej ustąpił i poczuła się dość swobodnie. Zaprosiła resztę grupy, by do niej dołączyła na piasku. Jednak nagle na skraju wejścia do miasta załoga towarzysząca kapitan zauważyła coś niepokojącego, nietypowy ruch złotych ziarenek. Nie wydawał się groźny, gdyby nie jedno „ale”. Otóż dzisiaj nie było można uświadczyc żadnego wiatru czy choćby wicherku. Powietrze stało w miejscu, a mimo to można było, teraz już bez problemu, zauważyć ruch na tafli.

Młoda kobieta wchodziła coraz głębiej w miasto. Oddaliła się już spory kawałek od reszty towarzyszy i zniknęła za jednym z domów. Nagle załogę dobiegł krzyk przerażenia, a piratka wybiegła zza rogu. Najciekawsze, a zarazem najdziwniejsze działo się tuż za jej plecami – podążała za nią fala piasku. Gdyby to było morze, pewnie nikogo by to nie zaskoczyło. Jednak w tym miejscu taki widok był całkowicie dla nich obcy i niezrozumiały. Kobieta biegła, ile tylko miała sił w nogach.

Ze wzburzonej kilkumetrowej fali piasku wyrwała się macka. Zaczęła tańczyć w powietrzu, jakby oczekiwała na dogodną chwilę do ataku. I gdy miało to nastąpić, jej koniec zwęził się, tworząc coś na kształt włóczni. Natarcie było błyskawiczne, praktycznie niewidoczne dla ludzkiego oka. Krzyk rozlał się po okolicy, a przytwierdzona do podłoża kobieta błagała o pomoc. Macka, która okazała się bronią, przebiła na wylot bark ofiary. Wtedy z fali wyłoniła się kolejna, powoli tańcząc nad kobietą. Każdy spodziewał się tego, co zaraz nastąpi, jednak nikt nie był w stanie się ruszyć, bo paraliżował ich wielki strach.

Tylko Anne wystarczyło odwagi, by wejść na piasek. Gdy miał nadejść ostateczny cios, nagle włócznia wyhamowała. Między konającą kobietą a bronią z piasku pojawiła się kapitan Williama II.

Ku zaskoczeniu wszystkich piasek zatrzymał się i przerwał swój atak. Dopiero po chwili do dziewczyny dotarło, co tak naprawdę się wydarzyło.

– Zostaw ją w spokoju – wycodziła przez zęby.

Nie liczyła na to, że tak prostym zabiegiem uda się uratować kobietę, a jednak! Macka zatopiona w ciele piratki zaczęła się wycofywać do tej, która znajdowała się przed twarzą kapitan. Kobieta leżąca na piaszczystej ziemi, niewiele myśląc, zaczęła uciekać. Jednak nie było jej dane dotrzeć do bezpiecznego miejsca. Tuż przed granicą miasta za jej plecami pojawiła się gigantyczna fala. Mimo ogromnych starań i dopingu reszty załogi nie miała szans. Jej krzyk i błagalne prośby o pomoc ucichły, gdy zniknęła pod taflą złotych ziarenek. Załoga wróciła wzrokiem w miejsce, gdzie wcześniej widzieli Anne, nie było po niej śladu.

– Jo!

Carlosowi odpowiedziało tylko echo.

* * *

Gdy piraci z Williama II byli skupieni na umierającej kobiecie, przed kapitan zatańczyły dwa piaskowe węże i zmieniły w coś na wzór unoszącej się platformy z małych schodów. Wyglądało to na zaproszenie. Początkowo dziewczyna nie była przekonana, ale ostatecznie pokonała lęk i postawiła stopę na pierwszym stopniu. Po chwili była już na piaszczystej półce. Ta zabrała ją w głąb miasta, w miejsce, które nieraz odwiedzała w swej pamięci. Jej oczom ukazał się główny plac, na którym przez jakiś czas musiała nocować. Następnie dostrzegła pięknie zdobiony pomnik namiestnika. Nieraz przeklinała go w myślach, gdy na niego patrzyła. Zawsze oświetlony, teraz był jakiś smutny i ponury, kompletnie niepasujący do wystroju wokół. Anne znów przypominała sobie, jak po rzekomym buncie ze strony jej ojca nikt nie chciał dać kobiecie

dachu nad głową. Musiała radzić sobie sama. Niejednokrotnie, by przeżyć, była zmuszona do kradzieży. Gdy łapano ją na tym w młodym wieku, dostawała srogie lanie. Jednak, gdy zaczynała stawać się powoli kobietą... wyrzuciła to wspomnienie z głowy. Chciała pracować, nawet w kopalni rudy, ale Mark Brown zabronił zatrudniać ją nawet do najprostszych prac.

– Obrywasz za swojego ojca i na zapas!

Tak była traktowana przez swoich niedawnych sąsiadów, którym jej tato nie raz i nie dwa pomagał. Wielu obwinało ją za sytuację, jaka rozpętała się po wizycie barona – za przesiedlenia i za zwiększoną normę pracowniczą przy wydobywaniu rudy. Tamten czas nie tylko zmusił ją do porzucenia tej planety, ale także przygotował po części do życia, które wiodła po opuszczeniu Tung.

Platforma skręciła w jedną z wąskich uliczek. Anne wiedziała doskonale, dokąd ona prowadzi – do prywatnej kwatery Browna, namiestnika z ramienia Republiki. Była ciekawa, czy przeżył spotkanie z tym morderczym piaskiem. Jeśli nie, zostałaaby jej odebrana przyjemność z powrotu tutaj.

Ujrzała piękny, kompletnie niepasujący do otoczenia budynek. Wyglądał jak rezydencja kogoś bardzo bogatego. Białe marmurowe kolumny i posągi, dużo wysokich, zielonych drzew – wszystko to kłóciło się z otoczeniem i mocno kontrastowało ze stanowiącą tło rezydencji szarą ścianą góry. To właśnie w jej wnętrzu znaleziono ogromne złoża drogiego kruszcu. Na teren posesji Browna wchodziło się przez zdobioną bramę. Co jednak zastanawiające, teraz była ona wyłamana i wbita w jedną ze ścian domu. Przed nim znajdował się sporej wielkości kopiec z piasku. Platforma transportująca piratkę zatrzymała się i znów zmieniła połowę swej powierzchni w schody.

– Koniec wycieczki? – pomyślała Anne.

Anne nie obawiała się już złotych ziarenek. Gdyby planowały pozbawić ją życia, już dawno leżałaby twarzą do ziemi. Jeśli jednak

tego nie zrobiły, to miały w tym jakiś cel. Czy piasek może tak w ogóle działać? To pytanie stawalo się trochę niedorzeczne. Nie zmieniało to faktu, że w galaktyce jest wiele dziwnych rozumnych istot. Nawet wyobrażenia Anne nie była w stanie zwizualizować sobie niektórych z nich.

Powoli podeszła do kopca. W pewnej chwili dostrzegła, jak frontowa ściana, do której się zbliżała, zaczęła wolno falować. Dziewczyna nie wiedziała, czy to normalne zachowanie. Złowrogie? Czy może pokojowe? Może złoty granulat chciał jej coś powiedzieć? Co gorsza, ciekawość wygrywała ze zdrowym rozsądkiem. Jej dłón powędrowała na piaskową kopułę. Ku swojemu zaskoczeniu poczuła w miejscu dotyku... przyjemne ciepło. Tak, jakby obcowała z żywym organizmem, który czuje smutek, tęsknotę i głęboki strach. Jednak nie był to lęk przed nią, a przed tym, co zostało już dokonane. Anne nie rozumiała w pełni tego, co się w tej chwili dzieje. Poprosiłaby kogoś o wytłumaczenie, ale kogo? Kto tak naprawdę był odpowiedzialny za to wszystko, co tutaj zastała?

Nagle pod jej dłonią powstało pęknięcie, które w bardzo szybkim tempie się rozrosło. Tutaj jej instynkt zachował się jak należy. Szybko oddaliła się od ściany. Gdy od kopuły dzieliły ją trzy metry, piasek runął na ziemię tuż za jej plecami, a w powietrze wzbił się kurz i zasłonił jej cały widok przed oczami. Nim opadł, do jej nosa dotarła niepokojąca woń. Wiedziała dobrze, że taki smród oznacza rozkładające się ciało. Mimo tego powolnym krokiem, zasłaniając usta i nos, przekroczyła „próg”... no właśnie – czego? Dopiero teraz, stojąc w środku piaszczystej konstrukcji, zdała sobie sprawę, że jest to swego rodzaju sarkofag, a dokładnie mówiąc, sala tortur. Widoku, który tutaj zastała, nie potrafiła w pierwszej chwili opisać. Czy sprawiał jej przyjemność? Czy może przyprawiał o przerażenie? Nie była tego pewna.

Pośrodku kopca, kilka metrów nad ziemią, wisiało ciało mężczyzny. Anne doskonale go znała, mówiąc wprost – to po niego

tutaj przybyła. Mark Brown na pewno nie żył już od jakiegoś czasu. Jednak sposób, w jaki wyzionął ducha, bardzo ją zaintrygował. Ktoś bardzo chciał mu zadać długotrwały ból. Wbite w jego barki piaskowe kolce wyglądały tak, jakby przesuwaly się co jakiś czas, aż w końcu przebiły skórę z drugiej strony ciała. Dziwny kask miał za zadanie wbijać mniejsze kolce w głowę byłego prokurenta. Stanowił coś na wzór korony cierniowej Chrystusa, tak przynajmniej jej się skojarzyło. Jednak miał jeszcze jedną ciekawą funkcję. Od frontowej strony do oczu było skierowane coś podobnego do niewielkich cążek. Miały one za zadanie utrzymywać powieki tak, by mężczyzna nie zaznał snu przed śmiercią. Jego twarz wyglądała na wychudzoną i zmęczoną, więc pewnie trochę tu już wisiał. Kolejną rzeczą, którą dostrzegła Anne, było okrucieństwo, jakie mu zadano. Skóra na klatce piersiowej i na plecach Marka Browna była rozchylona, jakby ktoś otworzył książkę i zapomniał ją z powrotem zamknąć. Wnętrznosci wyleciały z ciała i wylądowały na zwłokach kobiety leżących u stóp Marka. Anne bardzo chciała wiedzieć, cóż to była za osoba. Gdy odgarnęła z twarzy denatki zeschnięte już wnętrznosci Browna, jej oczom ukazała się twarz osoby, której mogła się spodziewać. Była to Rebecca, kiedyś sekretarka prokurenta, później kochanka, a nawet narzeczona. „Ciekawe, czy wzięli ślub?” – przeszło jej przez myśl.

Zimne ciało leżało na lekkim wzniesieniu, jakby na ołtarzu ofiarnym, i zapewne miało to sprawiać dodatkowy ból psychiczny głównej ofierze. Kobieta miała lepszy koniec niż jej partner. Kapitan Williama II zauważyła ślady na jej szyi i wywnioskowała, że ktoś musiał ją udusić, ewentualnie skrócić jej kark. Szybka i efektywna śmierć.

Anne obeszła zwłoki, przyglądając się uważnie temu, który po części zgotował jej los. To ona chciała pozbawić go życia, lecz teraz, gdy na niego patrzyła, odczuwała ulgę, że ktoś ją wyręczył. Nie była pewna, czy podołałaby zadaniu, z którym tu przyleciała.

– W końcu po wszystkim – powiedziała pod nosem.

Z czasem zamknięcie tego etapu na pewno przyniesie jej ulgę. Nie musiała już patrzeć w przeszłość, która tak bardzo odcisnęła na niej swe piętno. Zostało jej tak naprawdę tylko jedno zadanie do wykonania. Musiała odnaleźć Brega.

* * *

– Powiesić go! – krzyknął ktoś z końca karczmy.

Kat stojący w wejściu do knajpy jedynie spuścił głowę. Sprawiał wrażenie zmęczonego i niechętnego. Masował sobie opuchniętą dłoń i przeczesywał wzrokiem salę. Od kiedy Krab zjawił się na Nassau, odbywały się tu dzikie rozprawy sądowe. Wyroki orzekano na podstawie krzyku zebranych. Najczęściej oznaczał on śmierć oskarżonego. Nie było świadków, ławy przysięgłych, nikogo, kto mógł stawić się za tymi, którzy zaraz mieli pójść pod katowski topór.

W głębi sali siedział Brego ze swymi towarzyszami. Na szczęście bar wciąż działał i nawet był dobrze zaopatrzony, choć barman patrzył na nich trochę podejrzliwie lub może z pewną pogardą – trudno było z jego parszywej gęby dowiedzieć się czegoś konkretnego. Niby obsługiwał w normalny sposób, nie zawyżając cen dla przybyszów, jednak z jego postawy biła swego rodzaju niechęć. Sheyli ta planeta bardzo przypadła do gustu. Pomimo ewidentnych zniszczeń w trakcie zamieszek, miasto cały czas utrzymywało swój oryginalny klimat. Nie przeszkadzały jej nawet wszelakiej maści istoty, które leżały na ulicach. Niektóre odurzone alkoholem lub narkotykami, inne po spotkaniu się z kimś, kto nie był dla nich ani trochę przychylny. Po tylu latach spędzonych w kolonii karnej na Ziemi każda inna planeta wydawała się lepszym miejscem do rozpoczęcia nowego życia.

Grupę zszokowała informacja, jaką Brego przekazał im między kolejnymi łykami „pirackiego zbója”, jak to nazywał się

zamówiony napitek. W piasku, który zostawił po sobie na planecie Tung, wyczuł obecność poszukiwanej przez nich osoby – Anne. Niby mężczyzna tłumaczył im, że piasek stał się jego drugą skórą. Lecz mimo to w dalszym ciągu nie potrafili sobie tego w racjonalny sposób wytłumaczyć. Przynajmniej wiedzieli, gdzie znajduje się dziewczyna. Nie zdecydowali się wyruszyć na łącząca ich planetę – kiedyś będzie musiała się tu pojawić – argument prosty, ale jakże słuszny. Na tym skończyli temat.

Elfka nie miała ochoty już oglądać tej szopki z procesami. Dopija piwo, które miało tutaj swój oryginalny smak. Przemknęło jej nawet przez myśl, czy by tu nie osiąść, gdy przyjdzie „ten dzień” wolności i zaprzestania przygód. Od kiedy wraz z Bregiem wyruszyła z Ziemi, zwiedziła kilka, jak nie kilkanaście przeróżnych planet. Lecz żadna do tej pory nie złapała jej tak za serce jak Nassau. Wąskie uliczki wiły się wśród niewysokich, na ogół dwupiętrowych domków, zawsze przystrojonych kwiatami. W połączeniu z szutrową drogą dawało to odczucie przeniesienia się do odległych czasów, gdy po ziemskich morzach i oceanach pływały drewniane statki, napędzane siłą wiatru i ludzkich mięśni. Przynajmniej takie historie opowiadał jej ojciec, gdy jeszcze była bardzo mała.

Sheyla po wyjściu z karczmy udała się w miejsce, które w szczególności zyskało aprobatę jej serca. Tam przed jej oczami rozpościerał się wspaniały widok wzburzonego morza. Fale co rusz uderzały o plażę, a ich dźwięk przypominał wystrzał z okrętowego działa. Wiatr delikatnie muskał twarz dziewczyny, a szum, który ją otaczał, niósł ukojenie. Ten kojący szum sprawił też, że nie usłyszała, gdy podeszło do niej od tyłu dwóch mężczyzn.

– Hej, króliczku, nie zgubiłaś się? – Gdy elfka usłyszała te słowa, od samego zwrotu dostała gęsiej skórki na karku. Odskoczyła od razu, zwracając się twarzą w stronę usłyszanego głosu.

Krzywe, paskudne uśmiechy na szpetnych gębach mężczyzn nie świadczyły o ich pokojowych zamiarach. O tych zresztą nie

omieszkali wspomnieć, gdy dostrzegli, że dziewczyna jest elfką. Jeden z oprychów, łapiąc się za krocze, posłał Sheyli buziaka.

Na czole dziewczyny pojawiła się pierwsza kropla potu. Wiedziała, czym to może się skończyć, jeśli ich nie przepędzi. Jednak żaden z mężczyzn nie zaatakował, a ich uśmiechy zmieniły się w grymasy przerażenia. Powodem tej zmiany nie była jej groźna mina. Wszystko wyjaśniło się po kilku sekundach, gdy jej cień nagle zrobił się dwukrotnie szerszy. Wystarczyło zerknięcie przez ramię i już wiedziała. Tuż za nią stał Brego – w żywej postaci z piasku.

* * *

– Anne! Nic ci nie jest? – Carlos doskoczył do niej.

Zmartwienie wymalowane na jego twarzy było wręcz urocze. Czasami żałowała, że nie może mu dać tego, czego od niej oczekiwał, a na co na pewno zasługiwał. „No właśnie, czego?!” – przeszło jej przez myśl.

Odpowiedziała mu jedynie pokręceniem głową. Następnie obok niej pojawiła się Nila. Kwatermistrzyni nie wydawała się zmartwiona. Raczej była ciekawa, jakim cudem kapitan przeżyła przejście po piasku. Opowieść Anne o tym, co spotkała w głębi miasta, zasiała jednak w ich głowach tylko większe zwątpienie i – co gorsza – podsuwała kolejne pytania. A na te Anne nie знаła odpowiedzi. Cóż, przynajmniej przerwała nić wiążącą ją z tą planetą i miastem. Mogła w końcu ruszyć dalej. Teraz czekał ją powrót na Nassau, gdzie, znając życie, trwa spore zamieszanie. Ostatni raz zerknęła na zabudowania za swoimi plecami. Mimo krzywd i poniżeń, jakich tu doznała, jakaś część niej zawsze będzie chciała tu wrócić, szczególnie na groby siostry i ojca.

Wydała rozkaz do powrotu na okręt i zrównania drugiego miasta z ziemią, by pozostawić po sobie trwałe ślad. Członkowie załogi bez słowa wsiedli na mobile i ruszyli za swoją kapitan.

Droga powrotna zajęła im stosunkowo mało czasu, mimo tego, że Anne jechała bardzo powoli, jak na siebie. Rozglądała się dookoła, jakby chciała odnaleźć w pamięci wspomnienia z tej planety. Gdy dojechali na miejsce prowizorycznego lądowiska, jeden z pilotów transportera oznajmił, że Jack Rackham usilnie próbuje się z nią skontaktować. Dziewczyna po części domyślała się, czego ma dotyczyć rozmowa, nie chciała jednak dzielić się swoimi przemyśleniami. Czym prędzej zapakowali cały sprzęt na pokład i udali się w kierunku Williama II.

Po dotarciu na okręt Anne nakazała przekierować rozmowę z kapitanem Williama I do jej prywatnej kajuty i wydała rozkaz przygotowania okrętu na powrót do „domu” – jeśli takowy jeszcze posiadali. Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, poczuła, jak jest zmęczona. Nie pamiętała, kiedy dobrze spała. Ostatnie próby kończyły się na koszmarach, które usilnie wypierała z pamięci. Zebrała w sobie resztki siły, by dostać się do swego fotela. Gdy w końcu rozsiadła się wygodnie, jej powieki nagle nabrały olbrzymiego ciężaru. Musiała stoczyć walkę z samą sobą, by nie zasnąć przed kontaktem z Jackiem. Na szczęście połączenie nawiązano wręcz momentalnie, o czym świadczyła mrugająca czerwona lampka na jej komunikatorze. Włączyła go i po początkowych problemach z łącznością mogła w spokoju porozmawiać ze swym towarzyszem.

– Anne, jest duży problem na Nassau. Po naszym opuszczeniu planety rozpoczęło się polowanie na zdrajców, którzy niby nam pomagali – powiedział kapitan Williama I.

– Przecież byliśmy sami i tylko nasze załogi w tym uczestniczyły. – Anne zaskoczyła ta informacja.

– Ja to wiem, lecz oni... szukali kozłów ofiarnych.

– Oni? Czyli kto?

– Chin Shin z mężem – wytłumaczył Jack.

– Dobra, powiedz mi lepiej, kim ona jest.

– Jedna z najbardziej okrutnych i wpływowych piratek w organizacji. Posiada największą prywatną flotę i nikt nie ma czelności wystąpić przeciwko niej.

– No to jeszcze mnie nie poznała! – odparła pewnym siebie głosem piratka.

– Z całym szacunkiem, Anne, ale nie jestem przekonany, czy dasz jej radę. To nie jest twoja poprzedniczka, Chin jest o wiele gorsza i groźniejsza.

Kapitan Williama II nic nie odpowiedziała. Udało im się jedynie ustalić, że to Anne dołączy do Jacka na jego planecie i wspólnie udadzą się na Nassau. Kapitan Williama II nie wiedziała, czy się cieszyć na myśl o kolejnej silnej kobiecie w organizacji pirackiej – bo za takową się uważała – czy raczej obawiać. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że konfrontacja była raczej nieunikniona i musiało do niej dojść wcześniej czy później. Tego akurat była pewna.

* * *

Gdzieś w przestrzeni kosmicznej wokół planety Nassau...

– Niebieski cztery, zgłoś się. Niebieski cztery, zgłoś się – wywoływał chrapliwy głos przez komunikator.

– Niebieski cztery, zgłaszam się – odpowiedział chłopak siedzący za sterem niewielkiego myśliwca.

Od kiedy dokonano zamachu na gubernatora, niewielka armia gwardii gubernatorskiej starała się utrzymać względny spokój na planecie. Dlatego też wszystkie dostępne myśliwce szturmowe, które miały za zadanie wspierać żołnierzy z powietrza, odbywały rutynowe i przeważnie nudne patrole we wskazanych sektorach. Młody nie raz pisał w listach do rodziny, że z wielką chęcią zamieniłby służbę na Nassau na coś bardziej ekscytującego. Niestety jego wszelkie próby przeniesienia kończyły się na odmowie. Tkwił więc w tym miejscu, a co gorsze wsadzali go do tej puszkii – dokładnie to

do myśliwca EX9000. Zaprojektowała go i wyprodukowała firma Force Space Time, która dobrych kilkadziesiąt lat temu zniknęła z rynku. Łatwo można się było doliczyć, że młodzieniec obsługiwał sprzęt, który mógł być od niego nawet dwukrotnie starszy.

– W jakim sektorze się znajdujesz?

– Jeśli lokalizator dobrze działa – a nie było to normą – właśnie patroluję sektor dwunasty.

– Dobrze – odpowiedział beznamiętnie głos z drugiej strony. – Coś ciekawego zauważyłeś?

– Jest tu tak ciekawie, jak w dupie Muskrola na mej rodzinnej planecie! – odparł z irytacją w głosie.

– Współczuję dzieciństwa. Jeśli coś zauważysz, masz natychmiast to zgłosić.

– Tak jest. – Po tych słowach wyłączył komunikator. Oparł się wygodnie plecami o fotel i zmniejszył prędkość. – I tak nigdzie mi się nie śpieszy.

Zamknął oczy. Czuł, że powoli odpływa, a to na służbie niedopuszczalne. Potarł dłońmi twarz, by choć trochę się pobudzić. Okropnie chciało mu się spać. Jednak, gdy już otworzył oczy, nie potrzebował nic więcej, by niedogodność, która mu przed chwilą doskwierała, odeszła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jego niewielki myśliwiec leciał prosto na stalowego kolosa, który pojawił się, nie wiadomo skąd. Pilot złapał czym prędzej za drążek i go popchnął. Maszyna leniwie, ale na czas zanurkowała pod brzuch nieznanego okrętu. Chłopak wyprostował lot i dodał mocy silnikom. Musiał czym prędzej wyjść spod cienia okrętu, by jak najszybciej powiadomić dowództwo o kontakcie. Ku jego zdziwieniu, „brzuch” okrętu wydawał mu się niezwykle szeroki. Była to niestandardowa konstrukcja. Gdy w końcu udało się myśliwcowi wydostać, pilot poderwał maszynę do góry. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z jednym okrętem, a z dwoma. Po oznaczeniach burtowych i tych na nadbudówce

dowodzenia zorientował się, kogo właśnie spotkał. Włączył komunikator i wręcz wykrzyczał:

– Tu niebieski cztery, kontakt! Powtarzam, kontakt! William I i William II zbliżają się do Nassau! Powtarzam! William I i William II zbliżają się do Nassau!

* * *

Okrętem zatrzęsło bardziej niż zazwyczaj. Nie spodziewała się, że gdy tylko pojawią się w sektorze planety, od razu zostaną ostrzelani. A więc Jack miał rację – na Nassau musi być bardzo nerwowo. Na szczęście posłuchała Nili, która radziła, by chwilę po wyjściu z nadświetlnej włączyć tarcze ochronne. Gdyby tego nie zrobiła... na pewno znaleźliby się w gorszym położeniu. Przez komunikator Anne otrzymała informację, na której platformie zadokować statek.

Braki wyszkolonej załogi były coraz dotkliwiej odczuwalne. Za sterami stalowego olbrzyma usiadła młoda kobieta, której imienia kapitan nawet nie знаła. Dałaby głowę, że w ogóle pierwszy raz w życiu ją widzi. Załogantka miała pod okiem starszej koleżanki odbyć szkolenie w zakresie sterowania Williamem II. Niestety przystanek na planecie Amuko był dla jej mentorki ostatnim. Teraz młoda kapitan miała młodą sterującą. „Co za ironia” – pomyślała. Gdy statek uderzył w hak dokujący, kapitan posłała dziewczynie jedynie gniewne spojrzenie.

Teraz byli na łasce gwardii ambasadorskiej i zapewne jakiegoś kontyngentu przysłanego przez republikę. O ile to ona rządzi na Nassau – tego akurat nie mogli być pewni. Nim zdążyli zgromadzić się przy śluzie, mocne głucho uderzenie zagrało im w uszach. Ktoś po drugiej stronie bardzo się niecierpliwił. Anne nie miała w zwyczaju przyspieszać pewnych zdarzeń. Z dumną miną poczekała więc, aż cała załoga zbierze się w wyznaczonym miejscu. Nim metalowe wrota okrętu się otworzyły, podziękowała Nili oraz

Carlosowi za przyjaźń i zaufanie. Choć sam mechanik oponował przed takimi wzniosłymi słowami, to wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że mogą już się nie zobaczyć.

Do środka, przez szparę odchylanej śluzy, wdarło się miłe, chłodne i słodkie powietrze. Dokładnie takie, jakie Anne zapamiętała z ostatniego pobytu na Nassau. Po drugiej stronie wjazdu stał oddział gwardzistów. Każdy z nich był uzbrojony, w pełnym rynsztunku, jakby mieli tu zaraz rozpocząć bitwę. Jednak coś było z nimi nie tak. Wyglądali, jakby gdzieś po drodze zgubili odwagę. Anne aż dziwnie się poczuła. Przecież stała przed nimi zdziesiątkowana kobieca zgraja. „Cóż za ujma na męskim honorze” – pomyślała kpiąco.

Zrobiła krok do przodu na platformę. Wtedy każdy z mężczyzn poderwał broń, a czerwone lasery przecięły powierzchnię między nimi. Załoga Williama II nie stała beczynn timer i również dobyła broni. Wiedzieli, że jeśli kapitan szybko nie zareaguje, wszyscy bez słowa wystrzelają się jak kaczki. Kobieta znów zrobiła krok przed szereg. Gwardziści nie drgnęli nawet o kilka centymetrów. Anne zaczęła wyciągać z pochwy przy boku miecz. Mężczyźni jeszcze mocniej zacisnęli dłonie na karabinach, a palce niektórych powędrowały na spusty. Kapitan powoli, patrząc pierwszemu z brzegu gwardziście prosto w oczy, wyciągnęła broń przed siebie, rękojeścią do góry.

– Kapitan Anne Bonny wraz z załogą Williama II, poddaję się.

Niemalże słyhać było, jak dowódca gwardzistów spadł kamień, a wręcz głaz, z serca. Pewnie musieli tu być od niedawna, że się jeszcze nie przyzwyczaili. Załoga pirackiego okrętu obiecała, że nie będzie robić problemów, więc nikogo, prócz kapitan, nie zakuto w kajdany. Po dostarczeniu więźniów na powierzchnię planety gwardziści poprowadzili załogę drogą okrążającą miasto. Musieli obawiać się reakcji mieszkańców – w końcu Anne była jedną z tych, którą obarczano odpowiedzialnością za tutejsze zamieszanie.

Oddzielono ją od załogi. Na nic zdały się obiekcje Carlosa, nikt z gwardzystów go nie słuchał. Anne została zamknięta tuż za główną bramą miasta w niedużej lepiance osłoniętej z każdej strony polami kukurydzy, dzięki czemu pozostawała niewidoczna z głównej ścieżki. Strop znajdował się tak nisko, że pomimo, iż Bonny nie była wysoką osobą, to w swoim więzieniu nie była w stanie się wyprostować. Z kolei, gdy siedziała, nie mogła wyciągnąć nóg, gdyż zawadzała o drzwi. Co gorsza, w jej nowym lokum nie było nawet okna, nie potrafiła więc określić, czy jest już noc, a może nadal dzień. Wartownicy zmieniali się w mniej więcej równych odstępach, przynajmniej tak przypuszczała. Miała jedynie nadzieję, że jej załoga ma lepsze warunki.

Nagle usłyszała dźwięk czegoś ciężkiego opadającego na ziemię. Od razu przypomniały jej się słowa Jacka na temat Chin. Może kapitan Czerwonej Floty – największej prywatnej floty pirackiej, zwanej też „Czerwoną flagą” – nie planowała czekać do procesu i postanowiła sama wykonać wyrok? Dziewczyna chciała przygotować się na najgorsze, jednak jej obolałe plecy odezwały się palącym bólem. „Umrzeć, nie mogąc nawet stanąć na swych nogach. Co za ironia losu” – pomyślała.

Ktoś szarpnął za klamkę lepianki, lecz drzwi nawet nie myślały, by się poddać. Anne usłyszała srogie splunięcie, jeszcze twardsze przekleństwo i tym razem zawiasy nie dały rady. W twarz kobiety uderzyło oślepiające światło słoneczne. Oczy momentalnie zaczęły łzawić i licha osłona, jaką była jej dłoń, na nic się zdała. Ktoś szarpnął ją do góry i widząc, że nie może ustać na nogach, wyniósł na rękach z celi. Choć w tych ostatnich chwilach życia ktoś był na tyle miły, by nie włożyć jej ciała po ziemi. Padła na kolana na miękką, trawiastą poduszkę. Wzrok powoli jej wrócił na tyle, by dostrzegła przed sobą trzy stojące postacie. „Na co oni czekają?!” – krzyczała w duchu.

Jedna z osób zbliżyła się do niej. Anne uderzył w nos zapach fiołkowych perfum. Damskich perfum. Ręce zaczęły jej się

mimowolnie pocić, lecz po pierwszych wypowiedzianych słowach poczuła, że nie ma się czego obawiać, mimo że nie znała stojącej przed nią osoby.

– Same z tobą problemy, nowa Bonny.

– Taka moja natura. – Nie mogła powstrzymać kącików ust, by nie uniosły się w uśmiechu.

– Racja, pełna racja, ale twa natura doprowadzi cię kiedyś na szafot. – Anne nic nie odpowiedziała. – Nie martw się, nic ci nie grozi. Jestem przyjaciółką Jacka Rackhama.

– Mery Read?

– O! Coś tam wiesz lub czytałaś – odparła zaskoczona kobieta.

– Co nieco jedno i drugie.

– To jeśli powitanie mamy już za sobą, pójdiesz z nami. Trzeba cię ukryć.

Grupa Mery z Anne odeszła dość daleko od miasta, przedzierając się przez gęste pole kukurydzy. Kapitan nie raz przecięła tam sobie skórę liściem czy łodygą, ale przynajmniej szybko i bezboleśnie wrócił jej wzrok. Oczy na powrót przyzwyczyły się do natężenia światła na Nassau.

Minęli gospodarstwo, na którym ostatni raz Bonny miała przyjemność rozmawiać ze swoją poprzednią kwatermistrzynią. Następnie przebyli niewysoki, gęsty, iglasty las. Nie poruszali się głównymi traktami, przez co podróż wydawała się dłuższa i bardziej męcząca. Dodatkowo spowalniały je napotkane istoty. Każdy w tej chwili mógł być szpiegiem Chin lub donieść do najbliższego posterunku Republiki, lepiej więc było się ukryć i poczekać, niż w tak głupi sposób zdradzić swe położenie. Anne spostrzegła, że w grupie, która uwolniła ją z celi, nie ma nikogo z jej załogi. Tak naprawdę nawet osobiście ich nie znała. Gdy ukrywała się, leżąc w paprociach i niskich krzakach, rozmyślała, czy to aby dobry pomysł iść z nimi. „Jakby chcieli, już bym nie żyła” – rozwiała w myślach swoje wątpliwości. Szła więc dalej za Mery i jej kompanami.

Po jakimś czasie dotarli w końcu do kompleksu jaskiń. Wgłębienie w ścianie niewysokiego wzniesienia było ledwie widoczne z odległości kilkunastu kroków, a z głównej drogi prowadzącej do miasta to już nikt nie był w stanie jej zobaczyć. Ledwie Anne minęła próg, na twarzy poczuła przyjemny chłód. Mery, która szła na czele kolumny, zapaliła latarkę i nakazała iść za sobą. Kapitan Williama II nie mogła w tej chwili nic odpowiedzieć. Obawiała się, że każdy sprzeciw może pozbawić ją szans na ratunek. Schodzili w dół krętą kamienną półką. Na jej krawędzi znajdowała się lina, która miała chronić przed wypadnięciem. Przestrzeń za barierką otulała tajemnicza czerń, której nie potrafiło rozgonić nawet silne światło latarki. Stojące co kawałek pochodnie oświetlały skrawek drogi. Szli powoli, ostrożnie. Każdy, nawet najmniejszy błąd mógł skutkować ostatnim lotem w dół. W pewnym momencie półka skalna skręcała w prawo, w naturalnie wyżłobione wejście w głąb góry. Stamtąd również zaczęły dobiegać Anne odgłosy burzliwej rozmowy. Jednak przez to, że każde słowo odbijało się od ścian, tworzyły tylko niezrozumiałą kakofonię. Ale nie potrwało to długo, i zakończyło się w momencie, gdy wraz z nowymi towarzyszami kapitan postawiła stopę w grocie. Światło płonącego tu ogniska oświetlało zwisające stalaktyty pokryte solą. Mieniły się one na wszelkie kolory, dodając temu miejscu magicznego uroku.

Przy palenisku, trochę w cieniu, siedziało kilka osób. To tych ludzi zapewne wcześniej słyszała dziewczyna. Pierwsza osoba siedząca z brzegu wyszła do światła. Teraz Anne widziała, że jest to mężczyzna w średnim wieku. Nawet wysoki i... przystojny. Miał idealnie skrojony strój, doskonale przystrzyżoną brodę z pierwszymi oznakami siwizny, włosy spięte w nieduży kok z tyłu głowy. Jego piwne, ciemne oczy przeszywały ją na wskroś. Gdyby to była intymna sytuacja, pewnie nie miałyby nic przeciwko. Jednak w tych okolicznościach nie wiedziała, czego może się spodziewać. Mężczyzna zrobił krok i stanął z Anne praktycznie twarzą w twarz.

– Jestem Benjamin Hornigold – powiedział miłym, przyjemnym głosem.

Wtedy reszta osób kryjących się w cieniu podeszła do nich. Anne poznała wśród nich jedną personę. Był to Jack Rackham, a jego widok uradował jej duszę.

– To jest Charles Vane, Don Pedro Benito, Mery Read już zdążyłaś poznać, tak samo jak Jacka Rackhama. Powinni jeszcze z nami być Klaus Compaan i Charlotte de Berry. Jednak coś ich zatrzymało w mieście. Poza tym, jakby zauważyli, że brakuje zbyt wielu kapitanów, to zaczęliby coś podejrzewać.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Znajdowała się pierwszy raz wśród tylu innych dowódców okrętów pirackich. Do Jacka już się przyzwyczaiła, lecz teraz miała usiąść do paleniska z największymi tuzami tej subkultury. Każdego znała z opowiadań, czy to od Carlosa, czy też Nili. Znała historię napaści na konwój senatora i wiedziała, kto brał w tym udział. Usiadła obok Rackhama. Miała nadzieję poczuć się przy nim troszkę pewniej. Podano jej napitek w drewnianym kuflu, wyniesionym pewnie z miastowej karczmy. Dopiero gdy jej usta poczuły wilgoć i słodkawy smak napoju, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spragniona. Opróżniła naczynie w trzech sporych łykach. Następnie dostała tacę z kawałkami upieczonego mięsa i kilkoma owocami. Najpewniej była to wieprzowina, lecz nie miało to dla niej w tej chwili znaczenia. Zjadła wszystko w mgnieniu oka.

– Dobra, Hornigold, zaczynaj, bo szkoda czasu – rzucił Vane.

– Dobra, dobra, już. – Benjamin poprawił jedwabną koszulę, rozsiadł się wygodniej na pieńku i przemówił: – Wiesz, co żeście narobili tą kradzieżą? – Skierował wzrok na Bonny.

– Mogę zdawać sobie sprawę – odpowiedziała niepewnie.

– No to chyba nie do końca. Bo jakby tak było, to wrócilibyście wcześniej. Nie zmienia to faktu, że chciałbym poznać powód tego waszego, nazwijmy to... występku.

– Chciałam kontynuować zadanie poprzedniej Anne Bonny. W prywatnych rozmowach ze mną twierdziła, że ta książka połączy wszystkie załogi i stworzy prawdziwą republikę piracką. Jack został przeze mnie poniekąd zmuszony, więc cała wina leży po mojej stronie.

– Spokojnie, nie jesteśmy sądem, który ma wydać wyrok. Ze słów Rackhama wiemy, że on też wierzy w tę wizję. Jednak my jesteśmy jakoś... niezdecydowani. Poza tym, jak chcesz udobruchać innych kapitanów? Myślisz, że taka Chin czy może Howell Davis będą chcieli się podporządkować jakiejś większej idei?

– To nie chodzi o samą ideę. – Anne szybko zyskiwała rezon. – W tej chwili każde z nas jest odpowiedzialne tylko za siebie.

– Mnie to odpowiada – stwierdził Vane.

– Ale gdy w końcu Republika nie będzie miała interesu, by przemykać na nas oko, to co wtedy? – Anne kontynuowała, nie zwracając uwagi na wtrącenie. Widziała po ich twarzach, że zaczęli się zastanawiać, a to tylko dodawało jej odwagi. – Każdy z nas osobno jest łatwą zwierzyną, jednak jak połączymy siły...

– To co wtedy? – wtrącił tym razem Benito.

– Może będziesz miał dostęp do lepszego krawca – rzucił Jack.

Anne z początku nie rozumiała docinki ze strony kapitana Williama I. Dopiero gdy się przyjrzała, zauważyła, że postać nieznanego jej gatunku nosi ekstrawagancki ubiór z motywem czerwonej róży. Nawet na kapeluszu miał jedną przyczepioną. Na pewno był wyższy i cięższy od przeciętnego człowieka. Grube, czarne włosy wypadały spod czerwono-złotego kapelusza. Szeroko rozstawione oczy, brak nosa i wydatne wargi wraz z odstającymi uszami dziwnie się komponowały. Do najszczuplejszych istot też Don Pedro nie należał. Więc dziw brał, że był aż tak wystrojony, a to wszystko jeszcze całkiem dobrze na nim leżało. Na pewno nie szczędził na siebie grosza.

– Mimo wszystko, mój drogi. – Don Pedro zwrócił się w kierunku Jacka z typową dla siebie ironią. – Mój krawiec zawsze będzie lepszy od tanich butików, w których kupujesz te szmatki. – Zaciągnął się papierosem nabitym na szklaną lufkę.

Te słowa nie rozjuszyły kapitana Rackhama tak bardzo jak to, że jego modowy rywal dmuchnął mu dymem w twarz. Kapitan William I przed rzuceniem się z pięściami na oponenta powstrzymała siedząca między nimi Anne. Jack wstał i zaczął rzucać w kierunku Pedra cały wachlarz znanych mu wyzwisk. „Krwawa szpada”, bo taki pseudonim miał Benito, nie był mu dłużny. Teraz dwie dorosłe istoty kłóciły się, jakby siedziały w piaskownicy. Hornigold schował twarz w dłonie. Wyraźnie miał po dziurki w nosie takiego zachowania. Mery tylko się przyglądała, czerwieniejąc coraz bardziej na twarzy.

– Zamknijcie, dziewczki, paszcie i siadać na dupach! – Read w końcu nie wytrzymała. Jej twardy i stanowczy głos odbił się echem od ścian kamiennej jaskini. Jedno trzeba było jej przyznać, była to kobieta, której lepiej nie wchodzić w drogę.

Jack i Pedro momentalnie zamilkli i zajęli swe dotychczasowe miejsca. Można było kontynuować to tajne spotkanie pirackich kapitanów.

– Wracając do tematu... – zaczęła znów Anne. – Osobno jesteśmy łatwą zwierzyną do złapania. Razem możemy stanowić siłę, z którą każdy będzie musiał się liczyć.

– No dobrze, Anne, po części cię rozumiem – powiedział spokojnie Hornigold. – Jednak czym chcesz przekonać kapitanów, by wsparli twój projekt?

– A na czym wam najbardziej zależy?

– Na pieniądzach i kobietach – zaznaczył Vane.

– Dokładnie! W tej chwili Republika od każdego sprzedanego towaru pobiera dwadzieścia pięć procent podatku za transakcję. Pięć procent cła i dodatkowe dziesięć procent za fatygę. Więc daje

nam to prosty rachunek czterdziestu procent straty na dzień dobry, bo to też zależy od sektora sprzedaży. Dodatkowo każdy z nas musi opłacić załogę, licencję korsarza, postój statku, naprawy i tak dalej. Zostaje nam maksymalnie od dziesięciu do dwudziestu procent zysku. To chyba niezbyt uczciwe? – Na ich twarzach malowało się zaniepokojenie. – Musimy odseparować się od Republiki czy Federacji i stworzyć własny, niezależny byt, tutaj, na Nassau.

– Czyli chciałabyś stworzyć nową frakcję, coś na wzór gildii? – zadał pytanie Pedro, drapiąc się w brodę.

– Dokładnie! – odpowiedziała mu Anne. – Dzięki zwiększeniu zysków z tytułu nieoddawania procentu Republice jesteśmy w stanie zainwestować w okręty handlowe, które będą przebywać kosmos pod naszą oficjalną banderą. Taki też cel przyświecał Czarnobrodemu.

– Dobra, a co z rynkiem zbytu? – zapytała Mery.

– Jest pełno układów niezrzeszonych, gdzie możemy wejść z naszym towarem.

– A kto będzie dowodził naszą wspaniałą frakcją? Ten, kto ma księgę Edwarda? – spytał z przekąsem Vane.

– Zaproponowałabym coś na wzór systemu, który wprowadziłam na Williamie II.

– Czyli? – wtrąciła Mery.

– Wybierzemy kogoś na wzór prezesa czy prezydenta. Kogoś, kto będzie nas reprezentować, lecz decyzje będą podejmowane przy stole przez wszystkich podczas głosowania.

– Demokracja?

– Coś w tym rodzaju. To byłoby trzeba jeszcze omówić i spisać zasady, ale mniej więcej tak bym to widziała.

– To jest jakaś pieprzona bzdura! – Vane poderwał się z miejsca. – Czy ty myślisz, że ot tak Republika zrezygnuje z pieniędzy, które im dostarczamy? Jeszcze teraz, gdy szykuje się do wojny z Federacją? Nie mam zamiaru pozwolić, by moja załoga i okręt

był dla nich poligonem doświadczalnym! Jedynie tracę tu z wami czas! – rzucił na odchodne i pośpiesznie wyszedł z jaskini.

– Przykro mi, Anne, ale wydaje mi się, że Charles ma rację. Ten projekt nie przetrwa w warunkach indywidualistów i osób, którzy dbają tylko o swój czubek nosa. – Po tych słowach Benjamin Hornigold wstał i poszedł w ślady Vane’a.

Nie trwało długo, jak Mery Read wraz Don Pedrem również opuścili jaskinię. Z Anne został jedynie Jack, chyba ostatnia osoba, która w nią wierzyła. Teraz, gdy jej plan, wizja świata, który ją otaczał, upadł, nie zostało jej nic innego, jak oddać się w ręce gwardzystów i postarać się znaleźć sojuszników w mieście.